

JERZY JASTRZĘBSKI

UNIwersytet Papiński Jana Pawła II w Krakowie

„Zmierzch mediów” czy „koniec dziennikarstwa” (jaki znamy)?

Coraz częściej mówi się o „końcu dziennikarstwa, jakie znamy”, głównie w związku z nowymi mediami i technologiami komunikacyjnymi, rzadziej natomiast w odniesieniu do społecznej i kulturowej sytuacji ludzi i do mechanizmów praktyk poddanych coraz bardziej bezwzględnemu dyktatowi rynku i polityki. Presja ta przybiera na sile, odbierając stopniowo i tak zawsze przecież ograniczoną suwerenność redakcjom i dziennikarzom, którzy stają się wykonawcami woli i realizatorami strategii właścicieli koncernów i przedsiębiorstw medialnych; wyrobnikami wierszówek i minutówek, fabrykowanych na zlecenie pracodawców według z góry otrzymanych instrukcji. W tej sytuacji trudno mówić o etyce dziennikarskiej czy aksjologii mediów, te bowiem zakładają, jeśli nie całkowitą, to choćby częściową, wolność wyboru w odniesieniu do decyzji dotyczących spraw istotnych, a nie tylko pozbawionych rzeczywistego znaczenia. Niełatwo zatem było dyskutować (i nie rozmawiano) o etyce dziennikarskiej w czasach PRL, kiedy to media miały jedynie „transmi-

tować wolę partii” do nieświadomych i łaknących pouczenia mas. Odpowiednie instancje KC i KW PZPR kierowały więc do redaktorów wskazówki i wytyczne, a cenzura samym swoim istnieniem dyscyplinowała załogi środków przekazu, gdyż interwencje rzadko bywały potrzebne. Każdy wiedział bowiem, co przejdzie, a co będzie zatrzymane, i pilnował się sam. Decyzję etyczną dziennikarz mógł podjąć właściwie tylko raz — odpowiadając na pytanie, czy „być albo nie być” w tym zawodzie.

Warunkiem sensowności refleksji na temat aksjologii mediów jest zatem założenie, iż są one, względnie choćby, „wolne”, tzn. przynajmniej w znaczącej mierze niepodległe zewnętrznym naciskom i ograniczeniom. Tak właśnie miało być, i nawet przez chwilę po 1989 roku wierzyliśmy, że tak będzie. Szybko jednak okazało się, że media mają nie tylko misję, lecz przede wszystkim właścicieli, i to głównie zagranicznych, lub są jedynie z nazwy i formalnoprawnie polskie, nie zawsze wiadomo, przez kogo i skąd rzeczywiście finansowane, gdyż nie mamy rodzimego kapitału, żeby je tworzyć i stosownie do potrzeb modernizować. Wolny rynek ustawiał prasę, radio i telewizję, jak chciał, swą niewidzialną dla nas ręką, ale w niczym nam to nie wadziło, bo przecież — mówiono — pieniądze (na szczęście!) nie mają ojczyzny. Wkrótce okazało się, że jednak mają. Przypomniał o tym nie tak dawno w swym liście pasterskim Marek Dekan z firmy Ringier Axel Springer. Wyszło na to, że wszystkiemu znowu są winni Niemcy albo inne zagraniczne demony i trzeba repolonizować. Ustawa antykoncentracyjna jest rzeczywiście konieczna, ale nie łudźmy się, że w jej efekcie ustanie nadzór właścicielski i zniknie presja polityczna wywierana na dziennikarzy, tym razem przez narodowy kapitał i rodzime władze — choćby za pośrednictwem spółek Skarbu Państwa. A wydawcy i operatorzy prywatni nie

potrzebują instrukcji z zagranicy, by brać w ideologiczne karby swych pracowników, deklarując równocześnie jedyną prawdziwą niezależność i umiłowanie wolnego słowa, czego przykładami mogą być zarówno „Gazeta Wyborcza”, Polsat, jak i media opowiadające się za „dobrą zmianą” — „W Sieci” czy „Do Rzeczy”. Przyzwoite zachowanie mediów i dziennikarzy wyegzekwować mogą tylko odbiorcy, informowani przez topniejącą garstkę „sprawiedliwych”, czyli poważnie traktujących swą misję i profesję. O tych wszelako coraz trudniej. Kiedy niejaki Peter Prior wydawał instrukcje czołowym gazetom Europy Środkowo-Wschodniej, z rumuńskiej „Libertatea” w proteście odeszła większość redaktorów i dziennikarzy — niemal cała ekipa. Natomiast w polskim „Fakcie” tylko szemrano po kątach i narzekano (bez nazwisk) w rozmowach z kolegami zaprzyjaźnionych redakcji. Wartości chętnie się deklaruje a nawet uznaje, lecz ich realizacja wydaje się zazwyczaj w polskich mediach zbyt trudna lub wręcz niemożliwa. Nie tylko ze względu na degradację środowiska dziennikarzy, ale przede wszystkim brak prawnych uregulowań i ochrony pracy *media workers*, zdanych na kaprysy, łaskę i niełaskę pracodawców („Dziesięciu takich jak pan czeka na ulicy!”).

Po 1989 roku oddaliśmy się wreszcie zakazanym dotąd lub w ogóle nieznanym przyjemnościom refleksji o wartościach, normach i wzorach zachowań w sferze komunikacji społecznej. Tworząc Wysokie Komisje Zawodowej Etyki, promulgując deklaracje, mozolnie wypracowując kodeksy i zbiory zasad na użytek całego środowiska, poszczególnych związków i stowarzyszeń, mediów, a nawet redakcji, rozsnuwaliśmy na konferencjach i kartach książek (w najlepszej wierze) zastonę dymną dla poczynań niejawnych, niewidocznych nieuzbrojonym okiem, ale decydujących o aktualnej kondycji środków przekazu

oraz informacji publicznej. Byliśmy zatem przekonani, że media zaczną wreszcie reprezentować nasze, społeczne i publiczne, interesy oraz — w zgodzie z doktryną prawdziwej, a nie ludowej demokracji — „odkrywać to, co zakryte”, tym samym kontrolować władze i pilnować „dobra wspólnego” niczym przysłowiowy psi strażnik. Tymczasem prasa, radio, telewizja i Internet przyjęły tradycyjną rolę watch-doga, lecz podobnie jak dawniej służyły jedynie słusznej sile, tak teraz również wyalienowanym władzom, rządóm, grupóm kapitałowym albo własnym celóm politycznym i komercyjnym. W liberalnej demokracji, zacierającej stosunki władzy i własności, na globalnym rynku, chytrze maskującym interesy poszczególnych krajów, nie mogło być inaczej. Należy zatem dziwić się zdumieniu niektórych współczesnych publicystów i moralistów, że coś poszło nie tak, jak chcieliśmy; że miało być dobrze, a nie jest tak całkiem; że zasady sobie, a dotacje i zyski sobie; że media pilnują przede wszystkim własnych interesów; że kapitał ma ojczyznę; że dziennikarze muszą z czegoś żyć i boją się utraty pracy. Tak zwany „swobodny dostęp do zawodu dziennikarskiego”, strzeżony jak niegdyś „żrenica wolności szlacheckiej”, zaowocował degradacją społeczną i demoralizacją środowiska. Brak formalnych wymagań odnośnie do zawodowych kwalifikacji zdegradował dziennikarzy do łatwo pozyskiwanej i jeszcze łatwiej uzależnianej, wykorzystywanej i zwalnianej „siły roboczej”. Wobec słabości związków zawodowych dziennikarze są pozbawieni jakiegokolwiek ochrony — łatwiej się ich przyjmuje i odprawia niż portierów i sprzątaczkę w redakcjach, w niczym nie umniejszając tym zajęcióm, równie jak dziennikarstwu ważnym i pożytecznym, ale lepiej prawnie osłanianym. Dziennikarze „z łapanki”, nie z bożej, lecz właścicielskiej łaski, muszą być podporządkowani, jeśli nie ubezwłasnowolnieni, gdyż

są elementem łatwo wymiernym i na rynku pracy bynajmniej nie cenionym — nie mają zresztą na ogół zbyt wysokich kwalifikacji zawodowych i moralnych, bo się ich nie wymaga, bo nie mają gdzie nabyć odpowiednich doświadczeń, bo lęk amatorskiego establishmentu przed konkurencją sprzyja selekcji negatywnej i kwestionuje potrzebę zdobywania lub podwyższania kwalifikacji osób aspirujących do zawodu. Nie chciałbym tu bynajmniej uchybić czci należnej garstce sprawiedliwych — dziennikarzy przyzwoitych, uczciwych, kompetentnych. Na szczęście ciągle tacy są i to dzięki nim nie do końca utraciliśmy złudzenia, że świat mediów nadal istnieje, choć w innym niż tradycyjny kształcie; że „koniec dziennikarstwa, jakie znamy” jeszcze nie nastąpił, choć żyje ono przede wszystkim w naszej wyobraźni, a być może nigdy nie zaistniało w realu.

Być może niezależność mediów kontrolujących władzę i uświadamiających wyborców była tylko mitem — równie starym i równie odległym od prawdy jak demokracja, której strzec miały środki przekazu. Wydaje się jednak, że dopiero teraz mit ten, jako mit właśnie, został ostatecznie zdekonstruowany oraz pozbawiony wiarygodności i autorytetu. To, że król jest nagi, widzą wszyscy i bynajmniej tego nie ukrywają. Nie kryje się również i nie okazuje cienia wstydu sam władca, przekonany o swej wyjątkowej i niezagrożonej skutecznej krytyką pozycji bądź też nieświadomy przypisanej mu kiedyś tożsamości i roli. Media nie udają już nawet, że są obiektywne i bezstronne. Nie aspirują do mówienia i pokazywania prawdy, całej prawdy i tylko prawdy. O misji przebąkują tylko wtedy, gdy domagają się daniny w postaci abonamentu. Media komercyjne nie potrzebują w ogóle żadnych usprawiedliwień. Budujące narracje na temat misji i odpowiedzialności — wszechobecne jeszcze kilkanaście lat temu

— nie są już przydatne ani nadawcom, ani publiczności, nikt zresztą nie byłby w stanie ich serio potraktować. I nie trzeba edukacji medialnej w szkołach, by każde w miarę rozzgarnięte dziecko zauważyło, że środki przekazu manipulują, że telewizja — jak Pan Twardowski u Mickiewicza — „śmieszy, tumani, przestrasza”, że prędzej „cyganka prawdę ci powie” niż panienska z telewizyjnego okienka. Media służą dziś bowiem nie społeczeństwu, narodowi czy — jak kto woli — odbiorcom, ale partiom, rządowi lub właścicielom. Pojęcie dobra wspólnego jest im równie obce jak wyrażanie opinii publicznej i organizowanie publicznego dyskursu. Co więcej, zaczynają skutecznie odgrywać rolę „czwartej władzy”, samodzielnego podmiotu politycznego, który u fundamentów podważa doktrynę i praktykę demokracji. Nie są już arbitrem czy referentem, a stroną w sporach politycznych i kontraktach biznesowych na skalę globalną. Są aktorami, którzy zamiast obserwować scenę polityczną, sami na nią wchodzi jako podmioty biorące udział w grach o pieniądze i władzę, bo zyski z „usług dla ludności” zapewniły im odpowiednią pozycję i środki.

Kiedy na początku lat pięćdziesiątych minionego wieku w USA miała miejsce eksplozja telewizji, obawiano się jej paraliżującego wpływu na polityczne (a później komercyjne) wybory widzów. Diabeł okazał się nie taki straszny, jak go malowano, i wkrótce medioznawcy ukuli frazes, który wydawał się aktualny przez kolejne dziesięciolecia: telewizja narzuca agendę, ale nie opinie, „mówi, o czym mamy myśleć, ale nie, jak myśleć”. Pociecha okazała się złudna; mediom nie wystarczy już dziś manipulowanie agendą — nie widzą powodu, by wyrzekać się propagandy, politycznej reklamy, marketingu idei czy manipulacji. W dążeniu do pozyskania jak najszerszej publiczności, której obecność i uwagę sprzedają polity-

kom i ogłoszeniodawcom, środki przekazu, miast stwarzać klimaty do mediacji i negocjacji oraz racjonalnych rozwiązań problemów, generują i podsycają konflikty, czyniąc sferę publiczną miejscem odrażających, ale widowiskowych awantur, cyrkową areną walk gladiatorów. Cel uświęca przy tym środki. Rozbudzanie i podgrzewanie emocji nie sprzyja krytycznemu myśleniu — w atmosferze wzajemnej wrogości walczących z sobą aktorów życia publicznego nie słyszeć głosów rozsądku, a każda informacja jest instrumentalizowana i deformowana; każda opinia musi być sfunkcjonalizowana wobec jakiegoś interesu, który nie ma nic wspólnego z dobrem wspólnym, lecz wręcz często mu zagraża. Dawno już tedy pożegnano zasadę oddzielania informacji od opinii. Prezenterzy i redaktorzy do mistrzostwa opanowali język ciała, mimikę intonację, słownictwo, tak, by w razie konieczności „dawać do zrozumienia”, wyrażać stanowisko „poza słowami”, dystansować się lub utożsamiać, zachowując zewnętrzne pozory obiektywizmu i bezstronności. O pozory zresztą dba się coraz rzadziej. A już zupełnie wyjątkowo o prawdę. Mamy co najwyżej jej żałosne namiastki: postprawdy, półprawdy, ćwierćprawdy czy przysłowiowe g-prawdy. No cóż — prawda ucieka podobno z obozu zwycięzców. Tylko kto tu jest zwycięzcą? Na pewno nie my — widzowie, słuchacze, czytelnicy, których nie tylko świat jeszcze obchodzi, ale którzy ciągle nie chcemy zrezygnować z prób jego rozumienia i naprawiania. Nie wolno zatem „odpuszczać” mediów, pozostawiając je tym, którzy je zawłaszczyli; nie w sensie ich repolonizacji czy poprzez dekoncentrację umożliwiającą pluralizm, lecz poprzez uporczywe egzekwowanie ich powinności i zobowiązań ustawowych, obywatelskich i moralnych. „Łatwo powiedzieć” — wzdychał w takich momentach bohater zapomnianego serialu *Daleko od szosy*. Jak to jednak robić?

Zapowiadana ustawa medialna nie przywróci nam wyalienowanych środków przekazu. Powody ich głębokiej degradacji nie leżą wyłącznie w systemie zarządzania i kontroli czy w patologiach własnościowych; w nieporozumieniach dotyczących rynku i w braku gwarancji prawnych autentycznego pluralizmu. Zamiast bowiem wielości poglądów, źródeł informacji i ośrodków opinii mamy duopol władzy i opozycji, uniemożliwiający przebicie się do sfery publicznej tym, którzy nie dysponują odpowiednim kapitałem finansowym lub politycznym. Likwidacja zagranicznego monopolu w mediach lokalnych (zwłaszcza regionalnych), dekoncentracja w sferze własności, wyeliminowanie niektórych przynajmniej patologii rynku, prawna ochrona pluralizmu, wspieranie inicjatyw społecznych i obywatelskich w prasie, radiu i telewizji poprzez wszelkiego rodzaju ułatwienia, subwencje i ulgi, odpolitycznienie systemu zarządzania, koncesjonowania i kontroli — to wszystko jeszcze zbyt mało, by uzdrowić środki przekazu. Są to warunki konieczne, lecz nie wystarczające. Każdy przepis da się obejść, naciągnąć, korzystnie lub niekorzystnie zinterpretować; w każdej ustawie będą świadomie pozostawione luki albo błędy czy niedopatrzenia. Nie ma bowiem praw doskonałych, uwzględniających wszystkie możliwe sytuacje. Przykłady niektórych, bardzo demokratycznych państw (Włochy, Francja, Hiszpania) pokazują, jak bardzo potrafią się rozchodzić teoria (fikcja prawna) i praktyka (codzienna rzeczywistość gazet, radia i telewizji). Nie ma zatem nie tylko doskonałych praw, lecz także systemów medialnych i „sprawiedliwych” rynków. Z niemożności osiągnięcia ideału nie wynika jednak rezygnacja z dążenia do naprawy tego, co zrobić można i należy, by się doń przybliżyć. Nieosiągalne w pełni cele mogą bowiem i zazwyczaj wyznaczają właściwe kierunki działania.

Pewien niepopularny dziś klasyk filozofii i praktyki politycznej mawiał, że o wszystkim decydują kadry. Trudno odmówić mu, częściowej przynajmniej, słuszności, zwłaszcza iż nie on to wymyślił, ale — jak wszystko inne — starożytni Grecy (a może też Chińczycy). Zmiany w mediach należałoby więc rozpocząć od dziennikarzy albo przynajmniej nie pominąć ich w planowanych przedsięwzięciach melioracyjnych, bo bez ich udziału w koniecznych transformacjach żadna reforma udać się nie może, ponieważ cokolwiek byśmy nie zrobili, „będzie, jak było”.

Trzeba zatem w pierwszej kolejności dbać o względną choćby niezależność dziennikarzy, o poszerzenie zakresu ich podmiotowości. Dopóki będą bowiem jedynie wyrobnikami, pozbawionymi elementarnych praw pracowniczych, nie mówiąc już o braku szans na godne wykonywanie zawodu, a często nawet na zachowanie zwykłej przyzwoitości, dopóty zapowiadane zmiany w mediach będą niczym innym jak tylko reformatorskimi urojeniami. Bez dostatecznej ochrony praw pracowniczych umożliwiających wykonywanie zawodu zaufania społecznego dziennikarze będą wyłącznie łatwo wymienialnymi elementami medialnej maszyny, pracującej dla właścicieli i polityków. To prawda, że przemysł medialny stara się obniżyć koszty ze względu na stagnację, a nawet kryzys w branży, i redukuje koszty pracy, wykorzystując stażystów, zatrudniając adeptów dziennikarstwa na umowach śmieciowych i przebijając w tanich usługach wolnych strzelców. Ale problemem prasy, radia czy telewizji jest nie tylko nieskuteczne konkurowanie z Internetem i nowymi technologiami, lecz przede wszystkim niska jakość oferty, jej spadająca atrakcyjność mimo podejmowania desperackich prób przyciągnięcia publiczności coraz prymitywniejszą rozrywką. Polityczna służalczość i komercyjna chałtu-

ra naszpikowana reklamowymi oszustwami powodują zubożenie i nudę. Media informacyjne i opiniotwórcze z dnia na dzień tracą wiarygodność i nie próbują nawet ukrywać stronniczości czy silić się na obiektywność. Rozrywka w poszukiwaniu nowych bodźców i pomysłów w miejsce szybko zużywających się, spowszechniających atrakcji i bodźców wykracza nie tylko poza granice dobrego smaku, lecz także rozumu.

Do pewnego stopnia jest to zjawisko ogólnoświatowe. Włoski medioznawca Vittorio Meloni mówi nawet w związku z tym o globalnym „zwichnięciu mediów” w kontekście informacji, technologii i rynku. Zgodnym zdaniem Macieja Krzysztozka i Macieja Miżejewskiego, autorów książek o współczesnych włoskich mediach, proces ten mogą zatrzymać lub przynajmniej opóźnić przede wszystkim sami dziennikarze. To oni tam — powiada Krzysztozek — „są jedyną grupą, która otwarcie przeciwko [upolitycznieniu mediów —]] protestuje”¹. „Remedium może stanowić silna pozycja środowiska dziennikarskiego w relacjach z wydawcami i jego potężna siła strajkowa — twierdzi podobnie Maciej Miżejewski. — Wysoka instytucjonalizacja zawodu dziennikarskiego oraz jego profesjonalizacja może zatem przesądzić o faktycznej jakości pluralizmu medialnego [...]”².

Tak we Włoszech. W Polsce zawód dziennikarza nie jest ani zinstytucjonalizowany, ani profesjonalizowany. „Wolny dostęp” dla amatorów, obwołany „źrenicą wolności” prasy, owocuje bezwzględną dyktaturą wydawców, operatorów i właścicieli mediów. Jeśli każdy może być dziennikarzem, to nikt nim nie jest — znika dziennikar-

¹ M. Krzysztozek, *Przekaz medialny na rynku nadawców telewizyjnych we Włoszech*, Warszawa 2011, s. 84.

² M. Miżejewski, *Ochrona pluralizmu w polityce medialnej Włoch*, Kraków 2013, s. 206.



stwo, jakie znamy z historii i „opowieści z różnych krajów”. Znika problem kwalifikacji, ochrony prawnej, zagrożeń strajkowych. Polityka i rynek nie podlegają żadnym ograniczeniom natury moralnej czy estetycznej; nikt też nie upiera się przy misji i nie reprezentuje interesu społecznego. Klauzula sumienia jest godną politowania fikcją (jeżeli ktokolwiek jeszcze ją respektuje), podobnie jak dziennikarskie kodeksy, rezolucje, deklaracje czy komisje, ze związkami dziennikarzy włącznie.

Dziennikarstwo jest zbyt ważną praktyką społeczną, by pozostawiać ją amatorom — z jednej strony, a politykom i biznesmenom — z drugiej. Sama publiczność nie jest w stanie przeciwstawić się zawłaszczaniu mediów przez grupy interesów ani wymusić wartościowej oferty, zgodnej z jej interesami poznawczymi i różnorodnymi potrzebami indywidualnymi oraz zbiorowymi. Wskaźniki czytelnictwa prasy, słuchalności czy oglądalności nie dowodzą bezkrytycznej akceptacji tytułów, anten, kanałów, stacji czy portali. Recepta nie zawsze oznacza zgodę na ofertę medialną, bywa bowiem skutkiem braku wyboru, brania tego, co dają, bo nic innego nam się nie proponuje. Publiczność nie w pełni zdaje sobie sprawę z istnienia potencjalnej alternatywy, z niewykorzystanych szans, istniejących przy zmianie warunków możliwości wyboru. Dlatego tak ważną rolę w dziele reformy mogą odegrać dziennikarze, ale dziennikarze odpowiednio wykwalifikowani i kompetentni, posiadający nie tylko wiedzę ściśle zawodową i techniczne umiejętności, lecz także ogólną orientację we współczesnym świecie i wykształcenie szczegółowe w wybranej przez siebie dziedzinie. Tylko dziennikarze właściwie uformowani w procesie edukacji i w praktyce redakcyjnej, chronieni w trakcie wykonywania zawodu przez prawo gwarantujące im szanse dochodzenia prawdy, informowania i wydawania niezależnych

opinii będą mieli szanse na niezależność i podmiotowość. Na autorytet i wiarygodność niezbędne w dziennikarstwie trzeba zapracować, nie szczędząc wysiłku i zmagając się z przeciwnościami, ale trzeba mieć choć cień szansy na sukces, rozumiany nie tylko jako wejście do grona zasobnych i rozpieszczanych celebrytów.

Reformie systemu medialnego musi towarzyszyć zmiana sposobu kształcenia dziennikarzy i regulacja dostępu do zawodu, co bynajmniej nie ograniczy wolności słowa i prawa do udziału w debacie publicznej. Publikować każdy może, natomiast przyszły dziennikarz powinien uzyskać licencjat lub magisterium na dowolnym kierunku studiów, a następnie zaliczyć dwuletnie studia podyplomowe, dające odpowiednie zawodowe uprawnienia po przynajmniej rocznym stażu w mediach. Formacja przyszłego dziennikarza kończyłaby się egzaminem państwowym. Oczywiście przywołany tu przykładowo model włoski nie usuwa wszystkich problemów i jest jednym z wielu możliwych rozwiązań regulacyjnych funkcjonujących w Europie i poza nią. Powszechnie uznaje się jednak, iż działania komunikacyjne w sferze publicznej wymagają istnienia świadomych odpowiedzialności specjalistów, którzy nie będą mieli monopolu na informowanie i wydawanie opinii, ale nie pozwolą na totalną dezinformację i degradację mediów, przy czym będą przestrzegali etycznych i merytorycznych standardów, dostarczając wzorów przyzwoitego postępowania i dobrej dziennikarskiej roboty. By umożliwić im tę rolę, trzeba byłoby oczywiście zadbać o prawną ochronę zawodu, dającą szansę jego właściwego wykonywania. Otwiera się tu szerokie pole do popisu dla związków zawodowych, które mogą pełnić funkcję selekcyjną, kontrolną i współdecydować o dopuszczeniu do pracy w mediach kandydatów spełniających określone warunki, tak jak to jest np.



w Stanach Zjednoczonych. Trzeba byłoby im jednak dać odpowiednie uprawnienia i konsekwentnie budować ich pozycję oraz autorytet.

Możliwości naprawy dziennikarstwa i mediów jest wiele. Ich wykorzystanie lub nie zależy przede wszystkim od decyzji politycznych. Kłopot w tym, że dezorganizacja sfery publicznej i chaos komunikacyjny są na rękę politykom i wielkiemu biznesowi. Właśnie dlatego „zmierzch mediów” ma zasięg globalny. W dzisiejszym świecie prawdę coraz trudniej zataić, ale można ją ukryć, zrelatywizować, zdegradować, rozmyć, spozycjonować w mnogości fake newsów, półprawd, ćwierćprawd itp. — od czego ostatecznie są w mediach ludzie do wszystkiego, gatekeeperzy, spece od agendy, przykrywek, nakręcania spiral milczenia... Są i będą. Chodzi o to, by byli też dziennikarze. Media tak czy owak przetrwają — o dziennikarstwo należy jednak zadbać, bo będzie takie, jak jest i było.